Tom II. Nr. 16.

1. Czerwca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak się działo w Polsce po śmierci Bolesława Krzywoustego — aż do króla Władysława Łokietka.

Piękną pamięć w narodzie zostawił po sobie nasz rycerski Bolesław Krzywousty. W jednem tylko co chybił i bardzo, że nie przekazał Polskę jednemu, ale ją między czterech synów rozdzielił. Pokazałci on się w tej mierze lepszym ojcem niż królem. I niech mu ta Bóg tego nie pamięta, co przez to Polska wycierpiała. Bo to widzicie, nam trza się było zawsze trzymać kupy, zwłaszcza iżeśmy mieli — jak się już nieraz rzekło — moc wrogów, co jeno dybali na naszą zgubę. Otóż póki byliśmy razem, to i była siła po temu, aby sobie nie dać nikomu w świecie przygrywać na nosie. Ale jak tylko ów Bolesław nieroztropnie podzielił kraj między synów, takci zaraz osłabił nas, żeśmy się potem na długo podźwignąć nie mogli.

Gdybyż jeszcze synowie królewscy kochali się między sobą jak na rodzonych braci przystało, toby jeszcze pół biedy było. Ale to bractwo jak zaczęło się kłócić, a dołki kopać jeden pod drugim, a nareszcie jak się wzięli za łby ze sobą — tak i zmarnowali ojczyznę. I gdybyć wtedy był wstał ich ojciec a

nasz Bolesław Krzywousty, pewnoby zapłakał nad Polską szczeremi łzami, a umierając drugi raz, jużby więcej nie podzielił był kraju, miarkując po tem, co za nieszczęście z tego podziału wypadło. — Wprawdzie stało się po niejakim czasie, jak był Bolesław przepowiedział przed śmiercią, przekazując Polskę naszą *czterom synom*, a najmłodszemu *Kazimierzowi* nic nie dając: *że kiedyś on nad nimi wszystkimi przewodzić będzie.* Kazimierz też panował potem w Krakowie — i był z niego król niezgorszy, zwłaszcza dla biednych i utrapionych ludzi bardzo łaskawy i sprawiedliwy, za co go też *królem sprawiedliwym* nazwali. Aleć już Polska i pod nim nie była taką sławną jak pierwej; a kiedy umarł, to jeszcze gorsze czasy nastały.

Powiada jedno przysłowie: że *na pochyłe drzewo lada koza skoczy* — takci wtedy i na biedną naszę Polskę, kto nie chciał to bił: więc Niemcy, Czechy, Prusaki i siła innych nieprzyjaciół, jako drapieżne wilki nachodziły kraj nasz zdradziecko, a tu nie było sił żeby się im obronić, bo nie było zgody między książętami. Nie dosyć na tem — w sto i kilkadziesiąt lat potem zerwała się Tatarska dzicz od wschodu i niby szarańcza spadła na naszą ojczyznę. A byli ci Tatarowie naród pogański i wielce srogi, co ani domów nie mieli, ani żadnego gospodarstwa w kraju swoim, jeno sobie dużo bydła chodowali, zwłaszcza koni, bo ich najwięcej potrzebowali, żyjąc z rabunku i łupieży. Z twarzy też obrzydłe były one chłopy Tatarskie, bo to ogorzałe jak cygany, z maleńkiemi oczkami i o płaskich nosach. Najlepszym dla nich przysmakiem było końskie mięso surowe, a zamiast wody popijali sobie kobyle mleko i krew.

Pierwsi co ich doświadczyli, to nasi biedni Rusini. Siła im oni miast i pięknych wsi popalili, mnogo luda pognali w Tatarską niewolę, a kniaziowie Ruscy musieli na klęczkach chodzić przed starszyzną Tatarską i wielkie podatki opłacać. Nakoniec zabrali ich raz ze sobą i kazali się na Polskę prowadzić.

Było to roku pańskiego 1259 — więc już temu sześćset i jeden lat. — Przeprawiwszy się przez Wisłę, poszli najsamprzód Tatarowie na miasto Sędomierz; a że byli w wielkiej przemocy, toć ani myśleć było o jakiej obronie. Oj sądnyż był to dzień, skoro wpadli do miasta. A miasto, jak stoi w starych

księgach napisano, było bardzo piękne, domy i kościoły wielkie i cudne, z białego ciosu stawiane, — i to wszystko Tatarzy obrócili w niwecz, żeć ani śladu nie zostało. Cóż dopiero mówić o ludziach! zaraz przy wzięciu miasta poginęło ich strach jak dużo. A nazajutrz księża odprawili nabożeństwo, odśpiewali mszę świętą i jęli brać komunię: naprzód sami, a potem już lud cały, co jeszcze został przy życiu, z żonami i dziećmi — wszyscy od małego do największego. Potem zaś wyszli z krzyżami, ze świecami i z kadzidłami na miasto — i był płacz wielki i szlochanie. Mężowie płakali żon swoich, matki dziatek, brat brata, a nie było nikogo, ktoby się był ulitował. Więc Tatarowie zagnali ich z miasta na szerokie błonie wzdłuż brzegów Wisły. I siedzieli tam dwa dni na błoniu. Potem jęli Chrześcian mordować, mężów wespół z niewiasty — i nie pozostała z nich żywa dusza.

Tak srodze sprawiwszy się w Sędomierzu, poszli dalej polskim krajem, paląc wszystko po drodze, rabując i mordując. Aż stanęli pod Krakowem. I w Krakowie nie działo się lepiej, bo go także zdobyli i ludu wielką moc nazabijali. Dość że przez kilka miesięcy bawiąc w Polsce, tak ją wyniszczyli, że prawie stała się po nich jakoby jaka puszcza.

Oj dużo nadoświadczał nas Pan Bóg w tych latach nieszczęsnych po śmierci Bolesława Krzywoustego. Aż przecie ulitował się nad nami i po tak długim czasie, bo dopiero w sto siedmdziesiąt i coś lat, zesłał nam króla wielkiego, jako wybawiciela. Nazywał się on *Władysław Łokietek*, a to dla tego tak przezwany, że był bardzo małego wzrostu. Więc ten Łokietek dopiero przy Boskiej pomocy, jak się szczerze zawinął około porządku, tak i postawił naszą biedną Polskę znowu na nogi. I odtąd ci już było nam dobrze, bardzo dobrze... jak to zobaczycie w dalszem opowiadaniu. —

ŚPIEW ŁOBZOWIAN. *)

Hola! z drogi mości panie,
Z drogi do szatana;
Idą z miasta Łobzowianie:
— Danaż moja dana!

Kto nam w oczy stawi zucha,
Lub hardo odpowie,
To mu krzyknijmy do ucha:
Byłeś ty w *Łobzowie?*

Wawel, Wisła, trzy mogiły,
Czarny grunt Łobzowa,
Zawsze będą, zawsze były
Zaszczytem Krakowa.

Cóż w tem złego, niech kto powie,
Że Łobzowian śpiewa:
— Lepszy zagon na Łobzowie
Niż gdzie indziej niwa.

Gdy do miasta człek przed wschodem
Poniesie swe plony,
Sprzeda, kontent to i miodem
Wraca podchmielony.

Lecz w niedzielę, kiedy starzy
W długim siedzą rzędzie,
Wnet się i dzionek przegwarzy
Na miłej gawędzie.

Tu spoczywał, mówią, w cieniu
Król co lubił chłopy **) —
Jeszcze widać na kamieniu
Wyrzezane snopy.

---

*) Łobzów, wieś pod samym Krakowem.

**) Król nasz Kazimierz Wielki.

Prędzej Wisła z Sędomierza
Odwiedzi Bielany,
Niźli imię Kazimierza
Zapomną włościany.

Kto nie gardzi chłopka stanem,
Czci dobrego pana,
Niech wykrzyknie z Łobzowianem:
— Danaż moja, dana!

J. N. J.

POGADANKA STAREGO ROLNIKA.

Poczciwy ludowina w Marusicach tak się nałożył do pogadanek Jana Goździaka, że jak tylko przyszła niedziela, tak każdy, czy młody, czy stary, czy to dziewucha, parobczak, gospodarz, lub gospodyni, szli wszyscy do jego chałupy jakby za jaką powinność.

Otóż kiedy się znowu jednej niedzieli zeszli ludzie do Janka i gaworzyli tu z sobą o różnych nowościach, Janek tak zaczął mówić:

— Kiedy moi ludzie! przy pomocy Boskiej i poczciwego naszego dziedzica, z parobka dworskiego przechodziłem na gospodarza, to nie trzeba wam tego mówić, że pieniądze wtedy idą jak woda. To też co jeno miałem uciułanego grosza, wszystko poszło między ludzi, a na szkapinę musiałem się aże zapożyczyć dwóch dukatów. Nie frasowałem się jednak wiele o to, bo w polu Bóg znaczył urodzaj, więc przy zarobku we dworze pomału dług by się zepchnął, a bez szkapiny trudno się ostać gospodarzowi. Szkapina co ją kupiłem, była klacz gniada, źrebna, robotna i niegarna; a że spodziwałem się z niej przychowku, więc obserwowałem ją niby oka w głowie i moje dzieciaki, chłopiec i dziewucha, to prawie nawpół dzieliły się z nią swojem jedzeniem.

Mimo jednak takiego starunku, Bóg nawiedził mię na niej, bo przy ożrebieniu zdechła, zostawiając jakby na większą żałość,

malutką źrebiczkę, takuteńką właśnie jak sama. Ha! moi ludzie, choć szkapina nie ojciec ani matka, ale równie zafrasowałem się — a dzieciaki to myślałem że się pozagubiają. Ale najbardziej nam szło o małą źrebiczkę, bo co tu robić z takim robaczkiem? Więc poszedłem po rozum do głowy i umyśliliśmy sobie z kobietą, żeby ją przysadzać do krowy, a samym obchodzić się bez nabiału. Z razu turbacji dosyć było: z krową kłopotu było co niemiara, ale pomału krowa się nałożyła i jak wracała z pola, to nawet ryczała do źrebicy. I tak rosła, chowała się nam ładnie, wybryzgiwała po podwórzu; a że wszyścyśmy wedle niej chodzili jak koło jakiego dziecka, podtykali: to siana, to owsa, to ziemniaków gotowanych, to chleba kawałek — więc tak do nas nawykła, niby psiaczek jaki i het sobie chodziła za nami po izbie, po chlewach, po podwórzu, że trudno się było ognać od niej — a jakeśmy się jej pochowali, to tak rżała, tak szukała, tak zaglądała do wszystkich dziur i kątów, aż musiała albo mnie, albo kobietę, albo które z dzieci nadybać.

Oj! ucieszne też to było robactwo — przezwaliśmy ją *Sierotką*, a panicz dworski nazwał ją *Wachną*, bo miał kuckę, co się tak nazywała — i jak które z nas zawołało głośno: Sierotka! albo Wachna! to żeby nie wiem gdzie była, aby jeno dosłyszała, zaraz biegła do człowieka, owąchiwała i szukała, czy czego się jej nie da do zjedzenia. I tak było cosik do roku. A że w naszej wsi z pastwiskiem było trocha przyskąpo, więc panicz dworski uprosił swego wuja, że Sierotkę naszą wziął do swojej wsi, co ją miał o cztery mile nad Wisłą, na pastwisko letnie.

Oj! sądnyż też dzień był, kiedy ją przyszło wydawać z chałupy w cudze ręce, i na obcą opiekę — bo to źrebicą opierała się, że ją aż dwóch ciągnęło za postronek, ja pchałem z tyłu, dzieciaki wrzeszczały i ciągnęły ją ku sobie, kobieta ocierała oczy z płaczu i karciła dzieciaki, a ja gniewałem się na żonę, że ich nie pozamykała w izbie i że teraz na próżno tyle robią termedyi. Wreszcie moi ludzie! mnie się żal zrobiło, więc odszedłem od naszej Sierotki, zabrałem dzieciaki, żonę, poszedłem do izby i zamknąłem się w niej, żeby już nie patrzeć, co się ta dalej dziać będzie na podwórzu.

Około południa fornale ze żrebiętami dworskiemi i z naszą Sierotką wyruszyli w drogę. Dzieciaki pilnowały w oknach, bo wedle naszej chałupy droga im wypadała, a i ja choć niby krzątałem się po izbie, to za tem, to za owem, a równie nadsłuchiwałem, bo jeszcze raz chciałem choć aby spojrzeć na moją wychowanicę. Wreszcie zadudniło pod oknami, dzieciaki krzyknęły, kobieta poskoczyła ku nim, a ja rzuciłem okiem ukradkiem ale mi się tylko mignęło, bo chmura kurzu zakryła wszystko. Tak więc zostaliśmy bez naszej Sierotki i długi czas tak nam wszystkim było smutno, tak jakoś pusto, tak nam coś brakowało, że i godziny prawie nie było, żeby się które z nas o Sierotce nie odezwało. — Potem wybierałem się ciągle, żeby żrebiczkę naszą odwiedzić; ale jak to przy gospodarstwie, nigdy nie było czasu, przytem na piechotę droga daleka, więc tak na wybieraniu zeszło całe lato. W zimie znowu zaraz po siewach zasłabłem i leżałem do połowy postu, zanim wydobrzałem. Więc także o odwiedzeniu Sierotki nie można było myśleć. Potem przyszły siewy, a zatem moi ludzie prawie przez pięć kwartałów już Sierotka nasza była na obcym chlebie, a my jej ani razu nie widzeli, jeno zawdy słyszeli od pana i od ludzi, że się ślicznie chowa, że pięknie wyrosła i że pewno jej nie poznamy. Ja na to jeno się uśmiechałem, bo jakby to mogło być, żebym jej miał nie poznać, albo ona mnie po głosie? Więc sprzeczałem się z każdym, a kiedy upierałem się i upierałem przy swojem, wuj panicza rzekł:

— No, kiedy nie wierzysz temu, co ci mówię, to załóż się ze mną.

— Ja nie odchodzę od zakładu, odrzekłem, kłaniając się nisko panu i tym sposobem stanął zakład: że albo mi pan jeszcze rok za darmo przetrzyma Sierotkę u siebie, albo ja mu za ten rok zapłacę. Jednej więc niedzieli pan mnie zabrał ze sobą na bryczkę. Przez całą drogę żartował ze mnie, chwalił talarki co zgarnie do kieszeni za moją przegranę, a ja choć minę nie traciłem, ale równie nie pokoiłem się: bo pięć kwartałów, to czas nie lada jaki, a moja Sierotka zwyczajnie jak bydlątko głupie i jużcić; więc nic dziwnego, choćby mnie i zabaczyła. Jak tylko przyjechaliśmy, zaraz poszedłem na pastwisko

do stadniny, co miała kawał pięknej łąki łatami ogrodzonej. Pan był tuż przy mnie, a pokazując ręką na brykającą stadninę, rzekł:

— No Janku, poznaj teraz, która twoja żrebica — patrz choćby do wieczora, pozwalam ci na wszystko. Spojrzałem i ani weź: żadna sztuka ani się umywała do mojej Wachny. Wszystko było takie dorodne, takie ładne, że to powiadam wam sztuka w sztukę, a było tego cosić ze dwadzieścia. Więc przypatruję się po nogach, po uszach, po łbach, gdzie tam! — bo i ta trochę podana i ta także i owa, ale która moja na pewne choć urznij, a nie wiedziałem. Więc zaczynam się trochę frasować — pan sobie ze mnie pokpiwa, ja się skrobię w głowę, wzdycham, aż wreszcie przyszło mi na myśl, żeby ją zawołać po imieniu. Pan nie sprzeciwiał się temu; stanąłem sobie więc przy samem ogrodzeniu i trzymając kawałek chleba w ręku, zawołałem:

— Sierotka! moja kochana Sierotka! Wachna! Na to wołanie dosyć głośne, kilka sztuk zatrzymało się na środku, a jedna z pomiędzy nich łeb podniosła do góry, uszy ostro nastawiła i jakby czego szukała, albo co przypominała sobie, obracała się dokoła i chrapami wciągała powietrze. Wtedy ja na chybił trafił, jeszcze raz zawołałem:

— Sierotka! chodź do chleba, Sierotka!

Moi ludzie, po tych słowach jak się klaczka ta, co to stała na środku i oglądała się do koła, nie kopnie ku mnie, jak nie zacznie rżeć, wąchać mnie, lizać ręce, łbem wytrząsać, to ludzie myśleli, że co do niej złego przystąpiło, że aż ze strachem posuwali się od przegrody. Ja jeden tylko zostałem, oddałem jej chleb wszystek, co miałem przy sobie, potem objąłem za szyję, całowałem, głaskałem i jak odchodziłem, to mało że nie przeskoczyła przegrody, co duchem chciała iść za mną. Drugiego dnia moi ludzie, to jenom się pokazał i chrząknął, jużcić Sierotka tuż była przy mnie i tak cosić przez dwa dni nie mogłem się z nią nacieszyć. Ludziska to się temu wszystkiemu wydziwić nie mogli i tak moje bydlątko pokochali, że ją wszyscy inaczej od tego czasu nie nazywali jeno Sierotka a Sierotka — i każdy choćby gębie odjąć, a dzielił się z nią ostatnim kawałkiem chleba.

Kiedy już była w piątym roku życia, podziękowałem panu za wychowanie i wziąłem ją do domu, żeby mi pomagała w gospodarstwie, a że miałem drugą dobrą także szkapę, karego konia, więc robiły z sobą w parze i tak chodziły równo, tak pięknie, że ludzie moich szkapin nachwalić się nie mogli. Zarobku też nie brakło, ale robotę niemi prowadziłem z rozumem: wozu nie przeładowałem, jeno ciężar zawsze był w miarę, szkap nie zgoniłem, nie skatowałem, nakarmiłem, napoiłem, a kiedy się mocno zagrzały w drodze, to na przystanku okryłem derkami, oczyściłem szczotką i zgrzebłem jak wypada; posłałem też pod nie, żeby się miały na czem wyleżeć. Jak zaś przyszła niedziela albo jakie święto, to żeby mi nie wiem co kto dawał, tak żadnej szkapy ze stajenki nie wyprowadziłem. I tak zeszedł jeden, drugi i trzeci rok. Przez ten czas od Sierotki dochowałem się ładnego źrebca; potem przybyła mi źrebiczka i tak mi się jakoś przy pracy i modleniu do Boga wszechmogącego wiodło, że w gospodarstwie wszystkiego się przysparzało, a Sierotkę tośmy wszyscy prawie nie za bydle mieli, jeno niby za jaką przyjaciółkę, albo bliską krewniaczkę. Na ten przykład przyszło się do niej: to zaraz człeka witała rżeniem, oglądała się, wąchała, a jsk czasem z jakiego frasunku człek zabaczył wszystkiego i chodził niby struty, to moje bydlątko póty zachodziło i z tej i z owej strony, póty zaczepiało, póty skubało po odzieniu, aż człek rad nie rad musiał rękę do niej wyciągnąć, ugłaskać, ucałować i zabaczał choć na ten krótki czas tego, co go boli. Oj! jedyna to była szkapina, a nienarowna, a robotna, a niegarna, że na całą okolicę drugiej takiej nie znalazł.

To też każdy mi jej zazdrościł, a w dziesiątym roku, kiedy już w parze chodziła ze swoim synem, tośmy się dosyć nacieszyć nie mogli, że to już własnego chowu mamy bydlątka.

Pamiętam jak dziś, było to na wiosnę, kiedy pierwszy raz Sierotkę razem ze źrebcem po niej wyprowadziłem z pługiem w pole. Mały mój Stasiek, co dziś już o pół głowy wyższy odemnie, jechał na źrebcu; mała Wiktusia, co dziś z jej przyczyny zostałem dziadkiem, siedziała na Sierotce; Walek trzymał się pługa, bo duchem chciał własną ręką pierwszy zapróbować, jak będą z sobą szły w parze, a ja z kobietą szedłem dopiero

za niemi i przez całą drogę jeno o naszych bydlakach gaworzyliśmy z sobą.

Z taką procesyją przejechaliśmy przez wieś i myślałem, że już nie dójdziemy do pola, bo każdy z gospodarzy, co stał przed chałupą, dochodził do nas, trocha pogaworzył, przypatrzył się żrebcowi, poczęstował tabaką, życzył szczęścia Boskiem słowem—więc przestanków była co niemiara. A w polu dopiero z dziećmi co to było termedyi! — bo to żrebiec nienauczny roboty, kręcił się jak przyszło do ciągu, dzieciaki więc dalejże go żałować; a jak śmignąłem biczem, albo Sierotka na syna stuliła uszy i chciała go udrzeć zębami, więc dzieciaki w krzyk i w bek, tak że aż musiałem ich z kobietą odesłać do domu. Niedługo jednak było tej uciechy, bo jesienią przyszedł w nocy zły człowiek i ukradł mi moje szkapiny ze stajni.

Oj! moi ludzie, co na drugi dzień działo się u mnie w chałupie, co było płaczu i wyrzekania, to ani głowa moja, żebym wam to opowiedział. Przez cały dzień chodziliśmy jak nie swoi: ja szukałem, chodziłem Bóg wie nie gdzie, dopytywałem się u wszystkich ludzi—ale wszystko na próżno i szkapiny moje przepadły, jakby kamień w wodzie. Trzeciego dnia dałem na Mszą świętą, wysłuchałem nabożeństwa, wypłakaliśmy się z kobietą i z dzieciakami i jakoś zrobiło się nam raźniej i oboje rzekliśmy: ha! kiedy Bóg tak chciał, niech się dzieje Jego święta wola. I patrzcie moi ludzie! że zaufałem Bogu, Bóg mnie pocieszył; bo kiedy tego dnia po nabożeństwie pokładliśmy się spać i ja jakoś dobrze po północku ocknąłem się, usłyszałem jakby tętnienie, kiedy koń leci galopem. Nadstawiłem głowy, słucham— a tu dudni coraz lepiej i coraz bliżej, aż wreszcie ucichło pod płotem i zarżało. Po tem rżeniu poznałem moją Sierotkę, a choć własnym uszom nie wierzyłem, jak się nie zerwę, jak nie wypadnę z izby — patrzę, a tu moja Sierotka w siodle bez uzdy stoi pod płotem i szuka wrotni, żeby mogła wejść na podwórze.

Szkapsko ogromnie było spędzone, cienkie, wygłodzone, a kiedy podsunąłem jej siana i odkulbaczyłem, przy siodle w mantelzaku skórzanym znalazłem spory worek z samemi rublami, których po przeliczeniu we dworze było 1800 złp. i takowe zostawiłem u dziedzica, a po świecie puściło się gadkę o tem

znaleźnem. Jakoś cosik we trzy tygodnie przyjechał do dworu z pod Płocka z jednej wsi gospodarz, co sobie z pracy i oszczędności uzbierawszy tę trochę grosza, miał kupić osadę, ale mu na popasie w karczmie wyjęli złodzieje trzos z pod głowy i on naraz jeden stracił to, co ciułał przez całe prawie swoje życie. Kiedy dziedzic z różnych papierów, z listów i ze świadectw przekonał się, że istotnie te pieniądze do niego należą i odliczył mu takowe co do grosza, to chłopina z wielkiej radości sam nie wiedział, co miał robić: bo to i płakał i śmiał się i całował mnie i dziedzica po nogach, a za znaleźne dał kobiecie rubla, dzieciakom po złotówce, a mnie dobrą szkapę z pod siebie, co na niej przyjechał, niby za tego źrebca, co mi go ukradli, a którego już nie wynalazłem.

Znowu więc dwoje koni miałem do roboty, a co najważniejsza, moją kochaną Sierotkę, którąśmy za jej poczciwość jeszcze prawie bardziej pokochali.

Ale złych ludzi zawsze jest dosyć na świecie. Owóż i moją Sierotkę drugi raz z pastwiska w biały dzień ukradziono i już nie powróciła do domu. Całe prawie pół roku spodziewaliśmy się, że powróci. Każdej nocy budziłem się i nadsłuchiwałem, czy nie usłyszę tętnienia albo rżenia mojej poczciwej wychowanki; każdego wieczora szykowałem dla niej obrok — ale wszystko napróżno i już nam nie szło w niej o stratę konia do roboty, ale poczciwego bydlęcia, co się z niem prawie można było ugadać jak z człowiekiem, co się wiedziało, że nas zna i kocha jak najlepszy przyjaciel.

I tak zeszedł rok cały blisko. Aż w zimie dziedzic wyprawiał furmanki do Krakowa po różne maszyny i mnie przeznaczył do dozoru. W onem mieście dopiero moi ludzie napatrzyłem się, jak to bez litości katują konie: i chłopi co na targi przyjeżdżają i inni ludzie, co wożą wodę, drzewo i tam inne rzeczy. Bo to szkapiny, Boże odpuść, chude, nędzne, głodne, kości ledwo ze skóry nie przebijają, a ślepe to, a kulawe, a z bokami poobdzieranemi, pokaleczonemi, a tu na wóz nakładą bez miary, każą ciągnąć pod górę takiemu biedactwu, biją po nogach, po łbie, po ślepiach, krzyczą, wrzeszczą — szkapska do ostatniego wyciągają, że aż z pod kopyt iskry się sypią; wreszcie padają

na ziemię i ze zmęczenia i z bicia, potem tylko dychają i jak nieżywe leżą na ziemi. Napatrzyłem ja się tego nieraz, a jakem sobie wspomniał moją Sierotkę, jej poczciwość i przywiązanie do domu i pomyślałem, że tu między temi szkapinami może nie jedna taka poczciwa jak moja Sierotka — to mi prawie do płaczu przychodziło i rzekłszy: oj! ludzie, ludzie bez litości — uciekałem potem do stajni, żeby nie patrzeć na takie okrucieństwo.

Jednego jednak dnia musiałem znowu pójść w tamtą stronę miasta i kiedy od mostu wracam ulicą pod górę i myślę sobie o domu, o dzieciakach i o gospodarstwie, tak że prawie nie widzę nic, co się koło mnie dzieje — patrzę, a tu jedzie pod górę jakiś wóz z dwiema beczkami wody, zaprzężony tylko w jednego konia. Wedle wozu szedł jakiś człek trocha z miejska, trocha z wiejska ubrany i ciągle krzyczał, przeklinał, wywijał batem, a jak szkapina, co były na niej skóra i kości, potknęła się, albo przystanęła, to tak bił biczyskiem i biczem, że aż szerść z niej na ziemię leciała. Mnie już, moi ludzie, brakło cierpliwości, bo dobrze wiedziałem, że szkapsko chce ciągnąć, bo sili się do ostatniego, ale nie ma siły — więc poszedłem ku wozowi i rzekłem:

— Mój człowieku, bydlęciu jeść nie dasz, a chcesz, żeby ciągnęło.

Szkapina na moje odezwanie, jakby wiedziało biedactwo, że ma we mnie obrońcę, obróciło się trocha łbem ku mnie i słabo zarżało jak człowiek nieprzymierzając, kiedy z choroby już bardzo głośno mówić nie może. Woziwoda cosić mi hardo odpowiedział, ale ja na to nie zważałem, bo mi w tem zarżeniu przyszła do myśli Sierotka. Więc poskoczyłem do szkapiny, ale zanim mogłem się jej przejrzeć, woziwoda tak wyciął ją biczyskiem twardem dwa razy po łbie, że biedactwo jeno jękło, zatrzęsło łbem i padło jak nieżywe na kamienie.

I cóż wam więcej powiem — mówił dalej Janek, ocierając oczy — kiedy jeszcze dziś, jak to sobie przypomnę, to oczy nie statkują i duchem łzami zachodzą. Tak moi ludzie! to była moja poczciwa Sierotka, ale taka biedna, taka chuda, tak pokaleczona, że ją tylko poznałem po znaku, co miała od pokąsania wilka i po tem, że na każde odezwanie się moje zarżała, i ile razy

wyrzekłem: Sierotka! tyle razy podniosła łba od ziemi, zastrzygła uszami i spojrzała na mnie. Ludzi jak to w mieście, nazbiegało się dosyć: jedni żałowali, drudzy jeszcze wykpiwali, a ja klęczałem wedle niej, trzymałem łeb na ręku, głaskałem, całowałem, a Sierotka lizała mi ręce i czasem mruczała, jakby na oznakę, że mnie poznała. Przyniosłem jej ze sklepiku owsa i chleba, ale jeno po trochu skubnęła i potem grzebała nogami, przewracała oczami i choć nawpół już była zdechła, do ostatniego jednak tchu znała mój głos.

Jakże więc moi ludzie, czy to nie poczciwe było bydlę? Czy więc należy się tak katować, przeciężać robotą, głodzić konie i mało dbać o nie, jak się to po większej części dzieje między gospodarzami? Pamiętajcie, że i konie Pan Bóg stworzył, jak i inne na ziemi stworzenia; — więc jak dla stworzenia Boskiego, człowiek powinien być dla nich ludzki, cierpliwy, dbały o wygody i starunek wedle nich. —

Choć Janek skończył, ale Bąbała tak się zasłuchał, że het! stał w jednem miejscu, i z gębą otwartą niby wrota od stodoły. Bednarek też zaraz to zauważył, a sztruchnąwszy Modrasa i skazując na Bąbałę, rzekł cichaczem:

— Patrz Józek, widzisz Bąbałę?

Józek spojrzał, uśmiech w sobie zadusił ręką i wyszedł z izby za drugimi.

Jan Kanty Gregorowicz. (z Cz. N.)

Rzecz gospodarska.

Co wróży na pogodę, a co na słotę?

Chcecie wiedzieć czy będzie pogoda, czy słota — to posłuchajcie, jak o tem doświadczeni prawią ludzie:

Jeżeli bydło rogate samo ucieka z pastwiska i po krzakach się kryje, albo jeśli pokazuje zwykłą łakomość do trawy — toć wróży na niepogodę. Wół nie lubi mokrej trawy, chciałby więc coprędrej nachapać suchej paszy, zanim zwilgotnieje od deszczu — a znowu ucieka między krzaki, żeby mu się w uszy woda nie nalała. — Burzę zaś z grzmotami przepowiada bydło

rogate, gdy około południa nozdrza podnosi w górę i chciwie zachwytuje powietrze, lub kiedy skacze i boryka się po pastwisku, a przytem poci się i nogami grzebie ziemię lub rogami ją ryje. — Toż samo owce wróżą na słotę, jeśli zamiast coby się miały paść, dziwne wyprawiają skoki a barany trykają się z sobą.

Masz kotkę w domu, coby ci myszy łowiła i psa, żebyć strzegł od złodzieja. Otóż i one zwierzęta, zwłaszcza podczas wielkiego upału, mogą cię przestrzedz, kiedy burza będzie. Wtedy kotka liże się łapkami i często coś z uszu sobie ściera — a zaś pies tarza się raz po raz po ziemi i rano smutnie wyje.

A kiedy ujrzysz, że świnia na podwórzu ze słomskiem się bawi, podrzucając ją ryjakiem tu i owdzie, — bądź pewny deszczu albo i grzmotu. Boć to nie dla igraszki ona tak robi, jeno że ma wtedy krew niespokojną, gdy się na burzę zanosi.

Nietrudnoć o kreta szkodnika — wszędzie go u nas pełno: po ogrodach, w polu i na łąkach. Chcesz się tedy dowiedzieć, jaki czas będzie, toć i na niego uważaj a zobaczysz zaraz, że jak ma być słota, wtedy więcej kretowiny pokazuje się na łąkach i w polu. A wiesz dla czego? bo też i kret ma swój rozum i woli noskiem podnosić suchą ziemię bo lżejsza, niż mokrą co mu cięższą pracę zadaje.

To znowu jeża, jeśli go przydybiesz że się w ziemię zakopał, bądź pewny deszczu. Woli on w ziemi siedzieć, by mu na nos nie kapało.

I zając też, nie na próżno nazwany *szczwanym kotem*, boć i on ma swój spryt naturalny. I tak, uważaj jeno kiedyć zmyka z pola, albo z niekoszonej łąki, gdzie się miękko w trawie wylegał — oj, wtenczas deszcz bliski! Woli on podczas słoty wykopać sobie kotlinkę w szczerym piasku i stulić się w kłąbek że ledwie go dojrzysz, niż żeby mu się włoski jego delikatne w przemokłej trawie kleiły i żeby mu ztąd zimno było.

Za to, skoro przyjdą żniwa a zobaczysz, że niedoperze czyli jak ich tam po swojemu nazywacie: *gacki*, wesoło sobie wieczorem latają, a to ciesz się gospodarzu i zmawiaj więcej robotnika ze sierpem na jutro, bo pewna będzie pogoda. I dla czego? bo trzeba ci wiedzieć, że gacek ma takie delikatne

błony, co mu służą niba za skrzydła, iż niemi lada wilgoć w powietrzu zaraz poczuje i już wtedy nie może tak dobrze latać, jak kiedy jest suche powietrze. To też korzysta z dobrej pory, by sobie pobujać i dużo owadów nałapać na wieczerzę. —

Umieją też i ptaki niezgorzej wróżyć na pogodę i słotę — ale o tem potem.

RÓŻNOŚCI.

Śmierć od piorunu. Niedawno radziłci ja wam szczerze, jak się macie zachować w czasie grzmotu. I powiedziałem: jako niebezpiecznie jest umykać przed burzą, i że lepiej iść sobie zwolna, choćby i przemoknąć do nitki, niż się wystawiać na niebezpieczeństwo. — Otóż i dopiero co w *Zędowicach* w Brzeżańskiem, zabił piorun dziewuchę, a tylko dla tego powiedziałbym, iż się bała przemoknąć i uciekała duchem przed burzą. Była ona z ojcem na polu, gdzie wraz okopywali zagony pod kapustę. Naraz zerwała się burza, deszcz lunął jak z cebra i grzmić poczęło straszliwie. Dziewucha z kopaczką w ręce puściła się ku wsi i pędzi a pędzi, a tu coraz bardziej grzmi — ojciec zaś że to był człek stateczny, szedł sobie noga za nogą i nie przyspieszył kroku, choć mu taki i dobrze za kołnierz się lało. Już już dziewucha dobiegała do wsi, aż tu naraz okrutnie się załyskało i piorun uderzył. A uderzył ci nie w statecznego ojca, co sobie szedł zwolna, jeno w dziewuchę raźną, umykającą ku wsi, i od razu na śmierć ją powalił. Biedny ojciec przywlókł już tylko trupa do chałupy. —

A znowu pod koniec zeszłego miesiąsa w *Czerwieńcu* w obwodzie Żółkiewskim, zapalił piorun chałupę gospodarza Dańka M. i zabił mu kobietę, a także przez nieostrożność. Rozpaliła ona podczas burzy na kuchni i stała przy ogniu, a drzwi od chaty zostawiła otworem. Ztąd też i całe nieszczęście — boć wiadomą jest rzeczą, iż ogień i przeciągi najłatwiej sprowadzają piorun. — Niechże wam to będzie za przestrogę! —

Pies wściekły. We wsi *Czortkowcu* w Kołomyjskiem, wydarzył się temi czasy straszny wypadek. Oto jednemu gospodarzowi wściekł się pies i zaraz też jął się do kąsania innych psów we wsi. Ludziska czy pogłupieli, czy już tak Pan Bóg na nich dopuścił, dosyć że nic temu nie radzili. Aż tu od dziewięciu dni wszystkie psy pokąsane powściekały się i dalejże napadać ludzie, konie i inne bydło, i co im w drogę weszło, wszystko kąsały — zwyczajnie jako wściekłe. Duchem doniesło się to do urzędu — jedną dziewczynę srodze pokąsaną

zaraz wzięli do szpitalu na kurację; aleć Bogu wiadomo czy z niej co będzie. Gospodarzom zaś pozamykano konie, woły i krowy na czas, póki się nie przeświadczą że są zdrowe. Powiadają że tak ze 40 gospodarzy zostało bez bydła — a tu pilne roboty w polu, toć i nie potrzeba gadać, jaką szkodę ponoszą. — Bądźcież ostrożni gospodarze i baczcie pilnie na wasze psy, zwłaszcza teraz, kiedy gorące lato nadchodzi. Skoro tylko jeden z drugim zobaczysz, że ci pies jakiś nie swój, że jest niespokojny, że ma oczy czerwone i patrzy ponuro, że często chwyta pyskiem po powietrzu jakby łowił muchy, że obliżuje różne a najczęściej chłodnawe rzeczy, bierze je w pysk i znowu puszcza, że mu nos albo morda puchnie, a szerść się najeża i widocznie chudnieje, że też często szczeka czy jest potrzeba lub nie, a jakoś dziwnie i brzydko, że z domu ucieka i rwie się do kąsania wszystkiego co napotka — to już wtedy nieboże nie czekaj dłużej, ale chociaż ci serdecznie żal psa dobrego, nic nie pomoże, trzeba się go pozbyć koniecznie, bo inaczej i siebie i tyle innych ludzi gotóweś narazić na śmierć najokropniejszą z wścieklizny.

Podły skąpiec. Opowiadają pocieszną historję, która się temi czasy miała stać w niemieckim kraju. Żył tam w jednej wsi gospodarz, o którym wszyscy wiedzieli że był podły skąpiec. Wdowiec po żonie co ją głodem zamożył i bezdzietny, siedział sam jeden jak palec w chałupinie obdartej i na pół rozwalonej. Wszystką rolę wypuścił sąsiadowi za dobry pieniądz, a sam jeno siedział przy swoim skarbie, cieszył się nim i żył jak ostatni żebrak. Aliści dalej dalej, im więcej pieniędzy uskładał, temci większy strach go imał przed złodziejami. Myśli sobie: — A nuż mnie w nocy napadną! a tu ani żywej duszy, ani psa nawet nie mam ku obronie. Jużci o psa nie trudno, możebym go i dostał za darmo, ale psu trzeba dać jeść, ba, właśnie! jeszcze mi tego wydatku potrzeba.

Więc rada w radę co tu robić. I poszedł po rozum do głowy i wreszcie wpadł na taki sposób: zrobił sobie psią budę, postawił ją tuż przy drzwiach do chałupy i każdej nocy tam właził, naszczekując od czasu do czasu niby pies na postrach złodziei. Ale cóż się nie dzieje! oto trzeba wiedzieć że w onym kraju ustanowiony był podatek od psów. Skąpiec na śmierć o tem zapomniał. Aż tu jednego razu przynoszą mu nakaz z urzędu, żeby zapłacił podatek od psa. Gdyby piorun strzelił w skąpca, tak się srodze przestraszył. Napróżno się składał że psa niema, że to on sam do budy właził co nocy i szczekał niby pies, aby złodziejów odstraszyć — nic mu nie pomogło: musiał jak niepyszny zapłacić, bo mu nie chcieli wierzyć. To też zaraz położył się on podły skąpiec do łóżka z tego zmartwienia, i już więcej nie powstał. W pare dni znaleźli go ludzie nieżywego a przy nim spory worek samych śrebrnych pieniędzy.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**